

Laureatka Nagrody Fernanda Melchor – za książkę „To nie jest Miami”

Nieważne, że jakkolwiek obraz na naszym komputerze, choćby najbardziej miałki, znaczy więcej niż tysiąc słów. Opowieści rodzą się w języku i to w nim osiągają swój najgłębszy sens, który umyka mikrofonom i kamerom, który tkwi wplątany w plemienne głosy i gesty.

Tak zapowiada Fernanda Melchor swój zbiór reportaży zatytułowany "To nie jest Miami". Rzeczywiście, żeby zrealizować jej pomysł na opowiadanie o meksykańskim Veracruz, mieście przemocy, korupcji i wojen narkotykowych gangów, gdzie w atmosferze ciągłego zagrożenia usiłują żyć zwykli obywatele, kamera jest bezużyteczna.

Nie da się przecież sfotografować tego, jak łamie się życie młodego ambitnego adwokata, któremu pewnego dnia narkos składają propozycję nie do odrzucenia. Położenia uchodźców z Dominikany, którym narkogangsterzy wymordowali rodziny, a którzy przez pomyłkę uciekli za wcześnie z ładowni statku wiozącego ich do upragnionych Stanów Zjednoczonych, nie można wyrazić obrazem. Podobnie jak dylematu młodego robotnika rozdartego pomiędzy współczuciem dla uciekinierów, a grozą planowanej przez nich zemsty.

Fotorelacja nie odda także historii młodej kobiety wychodzącej za mąż za chłopaka, który uwiódł ją opowieściami o duchach i egzorcyzmach. Jej stopniowego, zbyt powolnego, zapewne, dochodzenia do świadomości, że oboje należą do zupełnie innych światów.

Tu nic nie jest tym, czym jest na pozór. Nie tylko Miami nie jest Miami. Również morderczyni swoich dzieci nie jest morderczynią, choć za taką się podaje. Historia matki, która zadarła z dilerami jest prawdopodobnie dużo straszniejsza. Błyski na niebie to nie UFO wiozące sympatycznych kosmitów, jak wierzy mała dziewczynka. Ale jak zdjęcie miałoby wyrazić to, że światła awionetki przemycającej narkotyki również ludzie dorośli wolą uważać za pojazd międzyplanetarny? Te złożoności najlepiej jest w stanie oddać literatura.

Wspólnym mianownikiem łączącym bohaterów jest tu doświadczenie przemiany. Proces dojrzewania do zrozumienia czegoś, proces opadania kłapek z oczu, proces rodzenia się lęku, czasem buntu, choć częściej rezygnacji. Niejako na przekór obiektywizmowi teoretycznie wpisanemu w definicję reportażu Fernandę Melchor pociąga to, co subiektywne. Nie interesuje jej samo demaskowanie przemocy, interesuje ją, jaką postawę można wobec niej przyjąć, na jakie sposoby można o przemocy opowiadać.

Podczas pisania zawsze towarzyszyła mi myśl, by opowiedzieć to wszystko z jak największą szczegółowością i jak najmniejszym hałasem; - pisze we wstępie. - żeby używane przeze mnie słowa wywodziły się z intymnej znajomości moich informatorów, z totalnej, czasami bezlitosnej eksploatacji ich perspektywy oraz, rzecz jasna, z mojego osobistego udziału w opisywanych wydarzeniach i obecności w opisywanych miejscach.

Nie ma dla niej postaci pozytywnych i negatywnych. Jako rodowita veracruzanka, Melchor sama staje nie raz w roli bohaterki. Jak jednak obiektywnie ukazać własny subiektywizm?

Jak utrzymać wobec siebie taką samą postawę narracyjną jak wobec obcych ludzi, takich jak chociażby pracujący dla mafii rozdrabniacz kokainy bądź seryjny gwałcień spalony żywcem przez zdesperowanych sąsiadów? To wielopiętrowe i na wskroś literackie zadanie. *W noc strzelaniny pani Ricie śniło się, że idzie przez ogromny ogród. Zdjęła buty, żeby nie zniszczyć trawnika, który był przesadnie wręcz zielony i krótko przycięty, niczym na polu golfowym. Żdźbła zdawały się pojękiwać pod ciężarem jej masywnej osoby, toteż pani Rita szła na palcach, a potem, sama nie wie jak, stała tam kompletnie goła. [...] pamięta, że w tym śnie prawdziwy lęk poczuła dopiero wtedy, kiedy jakiś obiekt w powietrzu – latający spodek z wszystkim jak należy: krągłą kopułą, kolorowymi światełkami i ognistymi turbinami – nagle na niej wylądował i zaczął mruzczeć jak jakiś silnik, tyle że z żywego ciała.*

Melchor nie unika długiej frazy. Kontempluje szczegóły, niespiesznie wyostrza obraz, tworząc silne wrażenie obecności bohaterów, naszej obecności obok nich. Taka proza wymaga dwóch nieprzeciętnych piór - pisarki i tłumacza. Tomasz Pindel znakomicie zsynchronizował się z rytmem i tonem nadanym przez autorkę. Jego przekład subtelnie oddaje to falowanie pomiędzy onirycznością, a konkretem opisu, dosadnością, a nawet humorem.

Drobiazgowo dopracowane zdania zawsze pozostawiają przestrzeń na domysł, wyobraźnię, refleksję czytelników. Choćby na myśl o iluzji, jaką mamy my, Europejczycy, że to nasz świat stanowi normę. Świat widziany jako całość bardziej przypomina Veracruz. Którą z postaci książki sami stalibyśmy się, gdyby przyszło nam żyć w takim miejscu? Nowele często kończą się zawieszeniem. Dalszy ciąg tworzymy sami w naszych głowach. Również subiektywnie i na własną odpowiedzialność.

Fakty nie mówią same za siebie - powiedział ktoś. To reporterka, reporter musi ich użyć tak, by przemówiły. Reportaż, podobnie jak powieść albo wiersz, jest zawsze o czymś. W odróżnieniu od rzeczywistości, która - jak ujmuje to Melchor - *nie ma żadnej woli, brak jej świadomej celowości.*

W oparciu o te same fakty, te same nagrania dźwięku, te same zdjęciowe kadry rodzą się więc opowieści na różne tematy, o zupełnie różnej wymowie.

Przy wielości konkursów adresowanych do twórców non-fiction, ten jeden, imienia wybitnego reportera-pisarza Ryszarda Kapuścińskiego, wynosi na pierwszy plan aspekt literackości. Jury Nagrody rozumie swoje zadanie jako szczególne wyróżnianie prac, które rozpychają granice reportażu, sprawiają, że gatunek ten ewoluuje, formalnie zbliża się do literatury pięknej. Jak zresztą przypomina tegoroczna laureatka, słowo „fikcja” pochodzi przecież od łacińskiego „fingere”, którego bezpośrednio, dosłowne znaczenie to 'modelować', 'nadawać kształt'.

[...] toteż tak powieść, jak reportaż - pisze Fernanda Melchor - są zawsze, na swój sposób, „fikcyjne” – w tym sensie, że zawsze są tworem sztucznym i nie można ich mylić z rzeczywistym życiem.”

Katarzyna Surmiak-Domańska